



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmid'a kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## Polityczne równouprawnienie kobiet w Anglii.

Podczas gdy w całym świecie kobiety ubiegają się przedewszystkiem o równouprawnienie w dziedzinie pracy i zarobku, a krucjata podjęta dla ich emancypacji jest tylko jednym z objawów toczącej się powszechnie walki o byt, w Anglii owe usiłowania przybierają osobliwsze znamię i podnoszą się o jeden stopień wyżej, sięgając po równouprawnienie polityczne i dobitcie się obywatelskiego zrównania.—Znaleźliśmy wyborne streszczenie owych zabiegów w rozprawie hrabiego Franqueville'a, odczytanej na walnem zebraniu pięciu francuzkich akademii, i po części z niej zaczerpnęliśmy szczegółów dotyczących sprawy przyznania kobietom praw dotąd stale im odmawianych. W ogóle bowiem temat to ciekawy, a nie dość uprawiany. Doprawdy, za autorem gotowi jesteśmy wyrazić nasze zdumienie, iż w wieku do tylu rozpisany, nie znalazł się jeszcze żaden pisarz, któryby chciał opracować rolę niewiasty w dziejach. Takie studjum sięgnęłoby pierwszych dni stworzenia: jedna zaledwie kobieta znajdowała się podówczas na ziemi, a już ona-to o losach świata rozstrzygnąć miała. Odtąd spotykamy się z żywiołem niewieścim na każdym kroku, w Judei czy Egipcie, w Grecyi czy Rzymie. Helenie zawdzięczamy pieśni Homera i Wergiliusza, zaczem, doprawdy, jej lekkomyślność nabiera znaczenia zasługi. Porwanie Sabinek utwala przyszłość Rzymu, miecz Judyty ocala Izraela. Król perski odracza uciemżenie żydostwa ze względu na Esterę. A im bliższe czasy i wieki, tem bujniejsze żniwo podań, postaci i faktów. Im rzadziej władza w ręku niewiast

się znajduje, tem większą ich potęgą. Niedarmo powiedziano, że za panowania królów kobiety wszystkim rządzą, mężczyźni zaś panują, kiedy królowa zasiadzie na tronie. Nie tu miejsce rozbiierać: azali ta przewaga wpływów niewieścich bywa zawsze korzystną. Zacieśniemy nasze badania w granicach przejawiającego się w tej chwili ruchu na ziemi angielskiej.

Tam w istocie kobiety od wieków ważną w historii odgrywały rolę, i piękna Rowena pochyła się już nad kolebką Albionu. Wkraczały też stale i więcej, niż gdziekolwiek, w dziedzinę polityki krajowej. A jeśli niesłusznie powiedziano, iż Elżbieta największym była królem Anglii, trudno zaprzeczyć dzisiejszej monarchini wyjątkowej roztropności i cnoty. Nie istnieje więc salickie prawo w obrębie Wielkiej Brytanii, ale gdy na tronie dla jednej tylko kobiety znajduje się miejsce, inne miewają za to ambitne zachcianki. Żony parów posiadają wprawdzie niektóre honorowe przywileje, lecz liczba ich jest szczupłą, a zresztą niema dla nich krzesła w Izbie Lordów, inne zaś, ani do Parlamentu dostać się nie mogą, ani też do głosowania politycznego przypuszczonemi nie zostały. Długo to upośledzenie znosiły w milczeniu, szukając jedyne pewnego wynagrodzenia w namiętnem mieszanu się do walk stronnictw. W czasach ograniczonego głosowania, kiedy każdy pojedynczy głos szczególnej nabierał wagi, żarliwość ich posuwała się do ostatecznych granic, czego dowodem owa piękna księżna Devonshire, która, by zdobyć dla Foxa jeden głos więcej, dała się pocałować rzeźnikowi.

Do r. 1832 głosujących oznaczano na tysiące, odtąd jednak urosła ona w miliony (prawie pięć). Głosowanie powszechne dało kobietom świadomość niejakiej krzywdy i zepchnięcia na podrzędne stanowisko. Wszelako dopiero od lat dwudziestu wystąpiły one jawnie z pretensjami swemi. Gdy w 1867 r. wniesiono do parlamentu nową ustawę wyborczą, grono Angielek zdobyło

się na podanie petycji żądającej przyznania im prawa głosowania. Rzecz byłaby może poszła w zapomnienie, niby dziwactwo niezastługujące na uwagę; tymczasem, wbrew oczekiwaniu, kwestya znalazła kilku wpływowych, potężnych nawet popleczników. Wystarczy wspomnienie Johna Stuart Milla, którego sama postać, pełna łagodnej melancholii, nakazywała szacunek, oraz Henryka Fawcett'a, wynagradzającego sobie brak wzroku tak niezłomną wolą i tak bystrym rozumem, iż człowiek ten doszedł do wysokich w ojczyźnie swojej urzędów i zaszczytów.

Gdy w wiosną 1867 r. rozpoczęły się w Izbie rozprawy, Stuart Mill wystąpił z argumentem w Anglii najsilniejszym: twierdził, iż polityczne zrównanie niewiast w sprawie głosowania nie byłoby nowością, lecz raczej tylko powrotem do dawnych tradycji. Wprawdzie zaledwie dwa przykłady dały się w XVI stuleciu odnaleźć, ale właśnie oba one były zwyciężkie. W obu wypadkach kobieta, będąca zapewne jedynym wyborańczą oznaczonej miejscowości, a dwóch zamianowała deputowanych. Przystępując zaś do jądra kwestyi spornej, Mill oburzał się, iż w konstytucyi angielskiej znaleźć się może podobna wyłączość pozbawiająca najpierwszych praw połowę ludności kraju. „Osoby te płacą przecież podatki, stoją na czele rodzin, uczą dzieci, posiadają wykształcenie, wyższe stokroć nad powszednią głosujących miarę. Zkądże przychodzi wobec nich łamać zasadę, iż ktokolwiek płaci podatek ma prawo głosowania? Rozstrzyga tu czyzy formalizm obyczajowy. Rzecz nam się wydaje dziwną; ale co nas dziś zdumiewa, jutro naturalnem się stanie, skoro nowość i odmiana są prawami rządzącymi światem. Wyłączenie to jest zabytkiem znikniętego rzeczy porządku.... Dziś, jeśli kobiety nie podniosą się na wysokość mężczyzn, mężowie zniżą się do poziomu niewiast.... Ktokolwiek zmierzył istotę i siłę społecznych prądów, uzna, że, jeżeli nie znajdują się

meżkie niewiasty, doczekamy się wkrótce samych tylko zniewieściałych mężów.... Wpływ kobiet jest już niezmierny, a dlatego tylko bywa niebezpiecznym, iż przejawia się pośrednio, a więc bez odpowiedzialności. Przyznajcie mu jawne, bezpośrednie znaczenie, aby mu wraz nałożyli odpowiedzialność“.

Na ścisłą argumentacją zwolennika praw kobiecych odpowiedziano wrzawą niepozbawioną pewnej dla płci pięknej uprzejmości. — „Nie trzeba zapoznawać woli Najwyższego ani zmieniać przeznaczeń kobiety. Alboż sobie potrafiły wystawić Ofelię, Kordelię czy Juliettę, zasiadające w parlamencie lub radzie miejskiej? Możliwość odpowiedzieć, iż taksamo trudno sobie wyobrazić Romea lub Hamleta za ladą kupiecką lub stołem notaryusza.

Cała dyskusja przybrała cechy dawnego turnieju. Kruszono kopie za prawami płci pięknej lub przeciwko jej pożądlivosti. Ostatecznie większość odrzuciła wniosek; kobiety atoli nie dały za przegraną. Odtąd rozpoczęta walka nie ustała i ciekawe przedstawia koleje, uwydatniając z jednej strony cały upór niewieści, angielskim spotęgowany uporem, z drugiej zaś oporność wyspiarskiego formalizmu i tradycy, nieskorej do przyjmowania obcych nowości.

Ale w samej naturze umysłowości angielskiej tkwi pewne podobieństwo do organizmu niektórych zwierząt. Każdy nowy pomysł na razie budzi ogólną nieufność, ale dostaje się, jak ziarno do młocznicy narodu, który długo żyje i przeżywa każdą projektowaną zmianę, porzuca ją i znów do niej wraca, aż w końcu rzecz się przyjmuje i przyjętą bywa drogą stopniowej asymilacji i przyzwyczajenia. Znając grunt rodzimy, kobiety postanowiły nie ustawać w zabiegach i ciągle przypuszczać szturm do odpornej warowni opinii publicznej i rządu, i na razie obeszlę niejako kwestyą. Oddawna przyznano niezamężnym kobietom pewne prawa w dziedzinie dobroczynności, wolno im było wybierać lub być wybieranymi do rad nadzorecznych. Skorzystały z tego, aby wkroczyć do rady miejskiej, i w 1869 r. przyznano im ten przywilej, z zastrzeżeniem wszelako, iż podobnie jak niezamężne kobiety mogą być wybierane. Następnego roku zreorganizowano szkolnictwo elementarne, zapomocą rad szkolnych wybieralnych. Każdy płaćący podatek miał prawo w nich zasiadać. Ogólnikowość ustawy otwierała narozcień kobietom wrota nowych rad szkolnych. Wcisnęły się też do nich hurmem, stawiając wszędzie swe kandydatury, bez względu na dawne wyłączenie zamężnych. Mnóstwo tych ostatnich przeszło większością głosów.

Zachęcone zwycięstwem, stronnictwo równouprawnienia nową w 1875 r. rozpoczęło kampanię, wnosząc do parlamentu ponowne podanie o udzielenie niewiastom praw uczestniczenia w wyborach prawodawczych. I teraz nastąpiła porażka, nie tak już jednak wielka, bo większość przeciwna ze 120 głosów, jak przed ośmiu laty, spadła na 35. W 1884 odmieniona ustawa wyborcza, wprowadzająca do Anglii niemal powszechne już głosowanie, jak wraz zwolennikom praw kobiecych nastęrczyła sposobność do wznowienia swych żądań. Ówczesny pierwszy minister, Gladstone, zasadniczo nie okazał się nieprzychylnym, oświadczając się jedynie przeciw oportunizmowi tak rdzennej przemiany urzędów społecznych. Opozycja wcale łaskawie się znalazła, ale choć słów całe popłynęły potoki, sprawa ani o krok nie postąpiła naprzód. W tem, w 1886 r., Izba niższa przyznała kobietom prawo głosowania politycznego. Tym razem, tryumf ich zdawał się być pewnym, gdy nagłe rozwiązanie parlamentu przeszkodziło zatwierdzeniu ustawy przez Izbę lordów, i skała Syzyfa ponownie przywaliła tylokrotnie wznowianą sprawę.

Gdyby wdzięczność w dziedzinie parlamentarizmu zobowiązującym była uczuciem, obecne stany angielskie powinnyby chyba dokonać równouprawnienia kobiet; nigdy bowiem większego na wybory nie wywarły one wpływu. Takiej skrętności i zabięgliwości nie było przykładu w dziejach. Nietylko konferencyami, wiecami,

rozdawnictwem broszur i obrazków, ale jeszcze własnym strojem i osobą usiłowały one uczestniczyć w agitacji wyborczej. Suknie, kapelusze, parasolki nawet, stroniczmi zajaśniały barwy. Wszędzie wdzierały się kobiety na estrady, na trybuny nawet, a gdy małżonkowie ze znużenia nie umieli już odywać się do ludu, dzielne ich towarzyski bez wahania się zabierały głos i wymownie za tym lub owym przemawiały kandydatem. Lady Randolph Churchill pod tym względem przedowała, a naśladowały ją i najuboższe córki wielkiego państwa.

Wszelako Izba dotąd nie kwapi się do wynagrodzenia tyłu podjętych trudów. A tymczasem walka nie ustała, tylko znów na inne przenosi się pole. W 1888 r. rząd przeprowadził ustawę zawiązującą w każdym hrabstwie rady miejscowe, co nakształt rad powiatowych. Przyznano kobietom prawo wybierania, zastrzegając jednak, iż wybranymi być nie mogą. Ale ambicya zostania radczyniami ukąsiła niejedną amazonkę. Wbrew postanowieniu parlamentu postawiły tu i owdzie swe kandydatury. Prowincya nie zdobyła się na przeprowadzenie takiej nowości, ale w Londynie Lady Sandhurst i miss Cobden odniosły zwycięstwo; co więcej, gdy rada powiatowa w duchu ustawy jęła się kompletować własnymi nominacjami, powołano na krzesło aldermana hrabstwa niejaką miss Cons.

Tryumf był tedy wielki. Cóż kiedy współzawodnik lady Sandhurst niegrzecznie zaprzeczył prawomocności wyboru, a Temida na jego rozstrzygniętą stronę. W 1889 r. sąd apeliacyjny usunął z rady londyńskiego hrabstwa trzy kobiety, które próbowały objąć posady aldermanów. Hrabia Meath całą tę sprawę wytoczył na arenę parlamentarną, wskazując, ile usług w zarządzie powiatowym oddać-by mogły niewiasty, i ponownie zażądał przyznania im prawa udziału w wyborach. Lordowie ogromną większością odrzucili projekt, w Izbie zaś niższej, gdy rzeczony bill przyszedł pod dyskusję większość posłów, z obawy przed mściwością płci słabej, nie zdobyła się na śmiałe ujawnienie swych opinii i chyłkiem się przed głosowaniem powynosiła, zaczem z konieczności odroczone sprawę.

A tymczasem w łonie świata niewieściego pokazała się rozterka. Zastęp poważnych bardzo kobiet wystąpił z protestem przeciw podjętym w tym kierunku usiłowaniam. „Znamy doniosłość naszego posłannictwa, i dlatego walczyć będziemy do ostatka przeciw wszystkim, coby owo posłannictwo zniżyło. Równanie praw obojczy płci wytworzyłoby współzawodnictwo tam, gdzie tylko harmonia ma panować“. Wystąpienie to wywołało odpowiedzi zaznaczające ogromną już większość stronnictwa równouprawnienia, upatrującego w przywileju głosowania niewieściego cenny nabytek dla płci słabej, a rdzenną korzyść dla kraju i społeczeństwa. Ztąd nowe powstały spory, zacięta zbudziła się polemika, w której cała prasa angielska dotąd czynny bierze udział. Tu zaś nowa kwestya komplikuje dawniej postawioną zasadę. Jedni niezamężnym tylko kobietom chcą przyznać prawo głosowania, inni rozciągają przywilej do matek rodzin, przypominając ich wyższość nad starymi pannami. Wrze jak w kotle, ścierają się zdania, zapaśnicy niezawsze parlamentarnie odpowiadają sobie wzajemnie, zawsze jednak z tą brytańską powagą, która dziwnie odbija od śmieszności przy podobnych kwestyach nieuchronnej.

Ostatecznie spodziewać się należy w Anglii zwycięstwa praw niewieści. Albion wprowadzie nie rad zbaczać z torów uświęconych logiką wieków i dawnego obyczaju. Ależ kropla wody spadająca z nieubłaganą wytrwałością gotowa skałę nawet wyżłobić, czyliżby zatem ustawiczna energia nie zdołała dokonać przewrotu w dziedzinie pojęć i urzędów społecznych! Burmistrz w Osieku, naszego Fredry, gotów wtedy stać się rzeczywistością, a najświętsza instytucja rodziny, najpoetyczniejsze strony niewieściej roli i posłannictwa bodaj zanikną w tem równouprawnieniu, którego samobójczo się płeć słabsza domaga.

Wielki myśliciel który był zarazem wielkim nauczycielem, Józef de Maistre, hamując meżkie zachcianki swej córki, przypominał jej, że osta-

tecznie żadne dzieło nieśmiertelne nie wyszło z rąk kobiecych, że nie było wśród nich ani żeńskiego Homera, ani Rafaela, ani Michała Anioła, że ani w naukach ścisłych ani w sztukach pięknych nigdy nie złożyły one dowodu prawdziwego geniuszu. Upokarzające te wszelako dla niewiast wywody kończył najwyższym ich powołaniem uznaniem: „Na ich to bowiem kolanach, na ich łonie, wychowuje się największe arcydzieło ludzkości, którem jest: *człowiek uczciwy!*“ Czyż-by ta missya nie miała już kobiecie XIX wieku wystarczać?

M.

## MODLITWA HEKTORA.

(Dokończenie patrz Nr. 38).

W tem błaganii Zeusa o duchową i społeczną wyższość dla dziecka, a przez nią o wyższość sławy i szczęścia, wyraża się myśl przewodnia obowiązku rodzicielskiego i zarazem tajemnica postępu Ludzkości. Postawmy w miejsce stosunku ojca do syna stosunek pokolenia dzisiejszego do przyszłego, a znajdziemy już gotowy wyraz dla biegnącego w nieskończoność szeregu momentów wytwarzających postęp. Cóżby się stało ze światem, gdyby pomiędzy ojcem a synem, pomiędzy pokoleniem dnia dzisiejszego a pokoleniem jutra, nie było różnicy korzystnej, coraz korzystniejszej dla coraz dalszych ogniw łańcucha? Coby się stało gdyby ci, co dopiero żyć będą, nie mieli być lepszymi, duchowo i społecznie wyższymi, gdyby nie mieli posiadać w sobie i naokoło siebie więcej sił i zasobów, od tych, którzy już żyją? Czy podobna wyobrazić sobie ludzkość, w którejby teraźniejszość przez niedołęztwo nie z siebie dla przyszłości wydać nie mogła, albo też przez egoizm i lekkomyślność dobra wydawane niszczyła, aby tylko nic, nic po sobie jutru świata nie zostawić. Byłby to stan jakiegoś komórkowego istnienia, — niedający się pogodzić, ani z pojęciem człowieka, ani z człowiekiem samym.

Gdzie niema różnicy, stanowiącej wyższość pokoleń późniejszych nad wcześniejsze, tam panować może tylko, albo naturalna dzikość, albo nienaturalne zdziczenie. Już w barbarzyństwie zaczyna się wiek jeden odsadzać od drugiego, a cała wartość cywilizacji polega właśnie na dodatniej różnicy pomiędzy tem, co jest, a tem, co było. Pokolenie każde, żyjąc, wytwarzając i spożywając dla siebie i za siebie, pracuje jednocześnie, a najczęściej bezwiednie, na swoich następców, za nich znoje ponosi i dla nich też dorobki społeczne gromadzi. Z summy tych dorobków, dołączającej się organicznie do summy i stosunków istot ludzkich, w danym momencie czasu żywych, powstaje ludzkość. Nie byłoby jej bez hektorowej modlitwy w czynie, — bez tego hektorowego wyrwania się przed siebie myślą i wolą, bez tego pragnienia ojców, aby dzieci ich lepszemi, szczęśliwzemi od nich były. Teraźniejszość jest drzeniem i falowaniem ustawicznym między dwoma biegunami, rzeczywistości i ideału; jej ruch dokonywa się ciągle pod jednoczesnym tych dwóch potęg działaniem; jej trud, to ciągle zbieranie owoców z drzew, które inni zasadzili, i ciągle sadzenie i szczepienie drzew nowych, z których inni znowu zbierać będą owoce. Moment dzisiejszy nie ma życia własnego; żyje przeszłością, którą przetwarza, i przyszłością, którą z żelazną koniecznością wytwarzać musi, choćby nie chciał, tylko wytwarzać może lepszą lub gorszą. Ta rzeczywistość dwoistego trudu jest zarazem i idealną zasadą życia, a w niem i postępu. Nie jest jedno lepszym od drugiego; i przeszłość i przyszłość jednocześnie żyć muszą; obie jednakowo uprawnione i potrzebne, jednakowo harde i tylko celom swoim uległe. Ludzkość nie jest zwierokrzewem, żyjącym wyłącznie w no-

wych swych rozgałęzieniach, a zatrzymującym dawne jedynie dla tego, że ich pozbyć się nie może. *Dziś* Ludzkości jest to *wczoraj* przetwarzane przez *jutro*. O to jutro właśnie dla Astyanaxa modli się bohater trojański, a urok tej modlitwy jest dziś jeszcze żywym skutkiem geniuszu greckiego, błyskającego ciągle z tej otchłani, nad którą ręka przeznaczenia daremnie wypisywała straszne swoje *wczoraj*. Ciała tylko pomarły, — duch wiecznie żywy.

Mysł ojca bohatera nad dzieckiem biegnie po promieniach samej myśli bożej nad światem. Coraz dalej i przez to coraz wyżej. Gdyby tak wszyscy ojcowie hektorowe modlitwy odmawiali, a odmawiane *odrabiali*, o ileżby lepsze, więcej warte, szczęśliwsze były i pojedyncze społeczeństwa i ogół Ludzkości! Ileżby niemocy, nędz, zawisłości szarpiących, starć bolesnych zniknęło zpod wielkich wiekowych widnokręgów, gdyby pod temi małemi a nikłemi, które roztaczają się u ognisk domowych, pełniło się zawsze istotne prawo życia, nakazujące miejsca w świecie dla dziecka swego szukać, ale i ducha rozwijać, o charakter dbać, nad czystością i siłą czuwać — wreszcie kochać dziecko swoje nie dla siebie, ani nie dla niegosamego, ale dla tego ogromu, który wszystkich i dzieci, i ojców, i dole pojedyncze, i powołania, i zawody, i szczęścia, i nieszczęścia ogarnia. Postęp ogólny byłby rzetelniejszym, prawdziwszym, gdyby Ludzkość żyła już w człowieku, w jego żądzach, pragnieniach, celach, interesach. Korzyść jednostki byłaby wtedy postępek samej Ludzkości; ilościowa tylko zachodziłaby między nimi różnica. Gdyby tak było! Próżne szamotanie się.

Ale kiedyś, kiedyś, zmęczona, z mordowana myśl ludzka odpocznie w tej oazie. Dziś takiego wychowywania młodych pokoleń żądać-by mogło tylko osłupłe od słońca marzycielstwo. Ludzkość jako wielki duch właściwie żyje tylko geniuszami, i niemi się zasila. Jak są geniusze umysłowości, tak są geniusze uczucia, — są niewysłowione miłości rodzicielskie, są talenta serc do kochania dzieci, i były zawsze i będą; ale jak wszelki talent, tak każde takie uzdolnienie jest tylko wyjątkiem. Te geniusze uczuciowości mają do pamięci ludzką takie samo prawo, jak i tamte, żyjące w pięknych, rozumnych i wielkich dziełach umysłu; ale Ludzkość dotychczas wtedy tylko prawu temu zadość czyni, gdy dzieła uczucia nabiorą już społecznego rozkolenia, gdy promieniować zaczną na całe społeczeństwo i wejść w jego organizm. O owych wyjątkowych talentach w życiu rodzinnym, wytwarzających dobro przez miłość, wychowujących silne a prawe istoty ludzkie i wzbogacających niemi Ludzkość nie wiedzą, często nawet najbliżsi. Ale cała bezimiennność trudu nie odbierze mu dostojności i wagi rzeczywistego pożytku i nie zdoła go ukryć przed rozumem rozpatrującym warunki i czynniki współbytu ludzkiego na ziemi. Wiek nasz wychował już całe pokolenia pod hasłem: „Wiedza to potęga”. Zapewne — potęga, ale nie jedyna; nauka sama przez się nie wytworzy dobra społecznego: wesprze tylko energią jednostki, da jej formę, drogę i cel umysłowy. Całe przepaści jeszcze poza tem staną nienasycone, głodne. Z kołowacizny, która u nas ćwierć wieku temu ogarnęła umysły, dziś została tylko gorycz — sił zmarnowanych na odśrodkowe dążenia. W summie samych uczonych silnych i szczęśliwych przez wiedzę łatwo otrzymać można społeczeństwo, a raczej zbiorowisko ludzkie, ciemne i nędzne.

Ten ojciec proszący bóstwa, aby go syn jego rodzony siłą i blaskiem swego człowieczeństwa prześcignął, jest obrazem najszlachetniejszego entuzjazu rodzicielstwa. Wyższej miłości niema nad tę, jak kiedy kto duszę swoją położy za przyjaciół swoje — powiedział Zbawiciel. Jest w tym zakresie życia moralnego jedna wyższa: czysta miłość rodzicielska, zdolna do poświęcenia swojego własnego *ja* dla osobistości przyszłego, ale tylko przyszłego, człowieka, które się z dziecka rozwinię. Właśnie im większa władza, im silniejsze, w rzymskim pojęciu rzeczy, prawo własności, tem większa też wartość osobistego zaparcia się zarówno w marzeniach o przyszłości dziecka, jak i w teraźniejszym, codziennym znoju po drodze do

marzeń tych celu. A dział tego drobiazgowego, powszedniego, niemilosierdnego, bez wychnienia ścigającego znoju, jest od działu myśli i marzeń nieskończenie ważniejszym. W stosunku do dziecka swego poczuć się istotą względnie niższą, t. j. stojącą pod prawem, skrępowaną obowiązkiem, i poczucie to ustalić w sobie jako trwałe usposobienie — to już niemal połowa trudu wychowawczego spełniona, bo i największy wróg wychowania rodzicielskiego: egoizm — ileż razy podstępnie przybierający formy miłości! — spętany, i zarazem najsilniejszy sprzymierzeniec: czujne zawsze poczucie powinności rodzicielskiej, zjednany. W wychowaniu niema ważniejszego czynnika nad rozpaloną jasno świadomości, że prawdziwym ojcostwem i macierzyństwem jest dopiero to, które się objawia i stwierdza w wychodowaniu człowieka z istotki człowieczej.

I z tego również względu wiersze *Iliady* tchną dziwną na wiek powstania poematu głębokością. Nie wychowa dziecka ojciec, którego żądze wirują ustawicznie naokoło jego własnej istoty, jak nie wychowa go i ten, który nigdy, na podobieństwo bohatera Troi — najpiękniejszego typu człowieka w *Iliadzie* — nie wznosił myśli ponad siebie, nie zaprzagnął dla dziecka swego wyższości sił, stanowiska i czci społecznej. Bo i czegożby miał pragnąć? Czy tego, aby syn jego był trochę mniejszą miernotą, mniejszą nicością, a może i mniejszą nieprawością, od swego ojca? Zaprawdę, nie żyjemy dzisiaj w wieku bohaterów. Żadne Hektory, w przerywie między jednym a drugim bojem, nie porywają Astyanaxów swoich w ramiona na ostatnie śmierci pocałunki. Złagodniały formy życia, zszarzały widnokreśli — ale zszarzały więcej jeszcze i wyszarzały się już wiekowe instytucje. Ojciec nowożytny dla syna nowożytnego nie jest już tem, czem był rodzic w Starożytności i w Wiekach Średnich; coraz mniej znaczy w jego wroście, wychowaniu, postanowieniu społecznym, coraz mniej też stosunków, i coraz słabiej związanych, łączy go z jego krwią własną. Rozkładowy ten ruch nie ustaje, pędzi przed siebie w przyszłość, dopóki się nie ukoi w nowych formach życia, w nowych instytucjach rodzinno-społecznych i nowej też organizacji wychowania.

Hektorowej modlitwy, choćby nawet miał do niej usta, nie ma prawa zanosić ojciec, który pod owym wyższym ubłogosławieniem pojmuje tylko wyższą karierę, dogodniejsze stanowisko do wyćśnięcia ze świata wszystkiego, co trywialność szczęściem nazywa — i bluźnierczymi tylko ustami prosząc, aby syn jego był kiedyś więcej wart od niegosamego, właściwie prosi tylko Zeusa-Molocha o większe bogactwo i lepsze z jego pomocą myślowe użycie. Nie każdemu dano być orłem, a choćby nawet nim był, doczekać się wysłuchania swej modlitwy; i nie zawsze dziecko, nawet wyżej obdarowane, niebędące tylko lichą asejdyą człowieczeństwa, znajdzie dla płuc swoich powietrze, dla oczu swoich światło, dla umysłu wiedzę, dla uczuciowości swojej wrażenia takie, któreby mu w człowieka wyższemi uskrzydłonego celami rozwinąć się dopomogły. Nastają nieraz w ludzkości mroki, w których niższe tylko istoty żyć, a raczej trwać, i do tego krańca przeznaczenia swego rozwinąć się mogą. I Hektor nie doczekałby się może z syna swego takiego bohatera, o jakiego błagał, gdyby ich obu mord i pożoga nie były zmiotły znad Skamandru. Ale dla ducha myśl jest równą rzeczywistością, jak i zmysłowa myśl zewnętrzność. Choć przesąd mówi co innego, w życiu świata ludzkiego istotnym czynnikiem twórczym jest tylko to, co pokolenia ludzkie wiedzą w co wierzą, co kochają, czego nienawidzą. Wszystkie źródła życia wytryskują z głębi człowieka, wiekuistego typu żyjącego w istotach przemijających: im te głębin czystsze i obfitsze tem i życie Ludzkości lepsze, silniejsze, rozwojowemu jej przeznaczeniu dokładniej odpowiadające. Na straży tych żywych źródeł stoją rodzice. Rodzicielstwo to urząd Ludzkości; — gdy dobrze sprawowany, śmierci samej uraga. Ziemiąśmiertelnością rodziców, ową dostępną nie dla samych tylko geniuszów umysłowych, będzie rzeczywistość dobra i siły spełniająca się w ich dzieciach.

O taką-to rzeczywistość błagał Hektor w *Iliadzie*.

S. K.

## OPłARA.

### SCENA Z DRAMATÓW ŻYCIA.

(Dokończenie).

Nie było chwili w dzień, czy w nocy, którejby nie stawiała się na moje wezwanie; najłżejszy szmer, najłżejsze westchnienie, lada poruszenie moje zwracało jej uwagę na mnie.

Zdawała się odgadywać moje myśli, uprzedzać moje życzenia tym jakimś instynktem kobiet, powołanych do łagodzenia cierpień cudzych, niesienia ulgi i pociechy, z zaparciem się siebiasmiej.

Nie umiem ci określić uczucia, jakiego doznawałem na jej widok; poza potrzebą jej drobnych usług, których mój stan wymagał prawie co chwila, tkwiła we mnie jakaś rosnąca potrzeba moralnej natury zbliżenia jej ku sobie, patrzenia na nią, badania jej twarzy, jej ruchów, jej postaci.

Nie widziałem jej tyle lat i teraz jakaś ciekawość nieustanna budziła się we mnie: jak też ona wygląda, czy się zmieniła, czy przeszłość pozostawiła na niej swoje ślady?..

Badałem ją oczyma i wszystko mnie w niej zajmowało; chciałem przeniknąć ją swoim spojrzeniem do głębi i dowiedzieć się, co myśli, co czuje, chciałem rozwiązać tę zagadkę niezrozumiałą: co ją właściwie sprowadziło do mego łóża i skłoniło do czuwania nademną, do takiej troskliwości, — co to było?.. resztki miłości zawiedzionej? czy litość? czy może szlachetna zemsta nad człowiekiem, który był jej mężem czas jakiś, a potem kazał sobie zwrócić swą kawalerską wolność i powiedział jej:

— Zawiodłem się, nie jesteśmy dla siebie stworzeni, — moje szczęście znalazłem gdzieindziej; bądź zdrowa i postaraj się także o to, abyś była szczęśliwą na swój sposób. Pójdziemy odtąd osobnymi drogami i nie spotkamy się więcej. Oto rachunek nasz zamknięty, nie jesteśmy sobie nic więcej dłużni, to twoje — a to moje. Żegnaj cię!..

Gdyśmy się rozstawali, w tym sensie mniej więcej brzmiała nasza ostatnia rozmowa. Nie mieliśmy dzieci, nie nas nie wstrzymywało, nie zmuszało do dźwigania więzów, które dla mnie wydały się za ciężkie.

Moje słowa musiały ją zranić boleśnie, ale za dumną była, aby mi boleść swą wówczas okazać. Zgodziła się na rozwód, nie próbując nawet protestować.

— Jeżeli Karol uważa, że będzie szczęśliwszym bezemnie, niż ze mną, — powiedziała mojemu bratu, który miał tę smutną misję pośredniczenia w naszej sprawie rozwodowej — nie myślę mu stawać na przeszkodzie. Niech będzie wolnym..

Nie słyshałem ani o jej łzach, ani o rozpaczach, ani o skargach i wyrzutach.

Nasz adwokat załatwił wszystko i porozumiewał się z nami, jako ze stronami prawnymi; traktował to, jak rozwiązanie kontraktu między panią N. a panem X.

Ta „smutna konieczność“, która rozbijała jeden z najświętszych związków ludzkich, była dla niego sprawą tak zwyczajną, tak pospolitą, tak fachową, że poza formalnościami i kodexem nie przedstawiała dlań żadnego znaczenia.

— Doskonale idzie, — mówił mi — doskonale, jak po maśle. Za kilka miesięcy będziemy mieli formalny rozwód. Żona pańska jest nieocenioną klientką: zgadza się na wszystko i postępuje we-



To, co miał mi teraz powiedzieć najdotkliwiej go zabołec musiało.

Domyślałem się jakiegoś tragicznego rozwiązania, ale nie chciałem go uprzedzać.

— No, i nie zobaczyłeś jej od tego czasu?

— Nie, — odrzekł krótko, przystanawszy u okna i opierając czoło o szyby, przez które widać było blask zapalonych latarni ulicznych.

— I dlaczego?— spytałem znowu po chwili.

Wrócił do mnie na otomanę, rzucił się na nią z ciężkiem, przerwaniem westchnieniem, które się, jak jęk serdeczny z piersi jego wydarło, i odrzekł:

— Bo dopiero w dwa tygodnie po jej śmierci doktor wyznał mi całą prawdę. Byłem już rekonwalescentem wtedy, ale ona...

— Umarła?..

— Umarła na tyfus; śmierć musiała zabrać swoją ofiarę, oszczędziła mnie, a wzięła ją od mego łóża. Jedno życie za drugie! Tego dnia, gdy poszła wypocząć do siebie, położyła się i nie wstała więcej. Mój doktor leczył ją, wiedział o wszystkim, ale nie śmiał mi powiedzieć o jej chorobie; ukrywał tajemnicę, obawiając się gwałtownego wstrząśnienia umysłu i recydywy. Powoli przygotował mnie do tej wiadomości i wrzenia tak, że odgadnąć musiałem w końcu sam okropną prawdę.

Chorowała tylko tydzień; gorączka, której się nabawiła przy mnie, strawiła ją w kilku dniach... Moja choroba ją zabiła!

Nastało długie, przykre, smutne nad wyraz milczenie między nami.

Słowa Karola brzmiały mi w uszach, jak wyznanie skazańca, pełne głębokiego bólu i troski.

Wyciągnąłem ku niemu rękę i poszukałem jego dłoni; uścisk mój miał mu zastąpić wyraz mego ubolewania i współczucia.

Przyjął go z wdzięcznością i, oparłszy głowę na moim ramieniu, płakał.

Pozwoliłem mu wyzalic się temi łzami, które mu widocznie serce przepełniały.

Kiedy się uspokoił, sam wrócił do przerwano-go tematu i cichym, melancholijnym głosem opowiadał mi szczegóły choroby i śmierci swojej żony.

W gorączce zrywała się i chciała iść do niego, powtarzając:

— Karol mnie potrzebuje, on tam sam został bez nikogo, ja muszę pójść, muszę, bo on mi ma coś do powiedzenia. Przecież mówił, że chce ze mną rozmówić się koniecznie... Powiedźcie mu, niech zaczeka, ja przyjdę... za chwilę przyjdę do niego.

Przywidywało jej się, że stoi przed nią i rękę jej podaje, do zgody, to znowu, roztwierając szeroko oczy i podnosząc, się na poduszkach, szeptała:

— Karol dzwoni... Jestem!.. czego ci potrzeba?

Na dwa dni przed samą śmiercią, zapytana przez doktora, jak się czuje, odpowiedziała:

— Dziękuję, dobrze — już mamy rozwód.

W maligunie żądała kwiatów, dużo kwiatów do trumny; chwyciła rękoma powietrze, jakgdyby zrywała kwiaty z gałązek, i mówiła szeptem:

— Bzy kwitną... bzy... konwalie. O, wiosna już, śliczną mamy wiosnę! Biały bez zakwitł, dużo... białego bzu narwijcie mi do trumny. Ja tak lubię bez!..

A na dworze pierwszy śnieg padał właśnie, gdy umierała, i zima się zaczęła.

— Chcesz mi zrobić łaskę — przerwał sobie Karol w opowiadaniu — pojedziemy jutro na cmentarz; co tydzień tam jeżdżę teraz i na jej grób zawożę wianek ze świeżych kwiatów. To dziwna: z każdym dniem zdaje mi się, że jestem coraz samotniejszy na świecie i teraz, kiedy jej niema, kiedy wiem, że już nigdy nie wróci, tęsknię za nią coraz więcej i coraz więcej czuję się wobec niej winnym, coraz większym jestem jej dłużnikiem, coraz bardziej mnie gnębi to, że się z nią rozmówić nie mogłem otwarcie, że jej nie wyznał wszystkiego, co miałem wówczas w sercu i na ustach, gdy mi mówić nie pozwoliła.

Dzisiaj kocham ją więcej, niż kiedykolwiek kochałem za życia, i wyrzucam sobie wszystko złe, które jej wyrządziłem. Ale cóż jej biedacze z tego!.. Nawet nie wiedziały, że zem zapóźno spr-

wiedliwość jej oddał i uznał krzywdę, jaką zrobiłem żonie zapoznanej.

To zakrawa na romantyzm, na sentymentalizm, wiem o tem; ale cóż chcesz, przyznaję ci się, że popadł w jakiś obłęd sercowy, z którego nie mnie wyrwać nie może, że miewam chwile, w których wierzę w duchy i mam widzenia na jawie.

Tak, to dziwne, — lekarz nazywa to zdenerwowaniem, rozstrojem, hallucynacją, — mniejsza o wyraz!.. ja wiem, że widuję ją, że mam sposób zaklęcia na nią, że ta rzeczywistość czy przywidzenie, ułuda czy prawda, daje mi ukonjenie chwilowe.

Nieraz w nocy, gdy tak leżę całemi godzinami w mojej sypialni, wyciągam machinalnie rękę, dotykam tegosamego dzwonka, który podczas całej choroby przyzywał ją do mego łóżka, uderzam zlekka o srebrny młoteczek i, gdy się jego dźwięk rozlega w ciemności, zdaje mi się, że na chwilę ona w swej własnej osobie staje w tych-samych drzwiach otwartych i spogląda ku mnie milcząca...

Zjawisko to trwa krótko, jak drganie dzwonka, i znika z ostatniem brzmieniem jego; wtedy ogarnia mnie znowu cisza, smutek, tęsknota i samotność moja...

Mówił to cichym, bolesnym jakimś tonem, jakgdyby się skarżył przed samym sobą i zapomniał o mojej obecności.

Przestał wreszcie, umilkł, nie odzywał się wcale i wpadł w zadumę. Myśli moje również uleciały daleko i krążyły około tej dziwnej powieści, której wysłuchałem z ust przyjaciela, gdy nagle drgnąłem nerwowo i, jak zbudzony ze snu, ocknąłem się z zamyslenia.

W ciemności rozległ się dźwięk dzwonka, poruszonego ręką Karola...

Marzyciel przywoływał swoje ukochane widmo na jawie.

Spojrzałem mimowoli ku drzwiom i omal nie krzyknąłem z przerażenia.

Pomiędzy pochylonemi kotarami dostrzegłem wyraźnie jakąś ciemną postać stojącą, która zdawała się zaglądać do pokoju i czekać.

Poskoczyłem z siedzenia, wołając:

— Kto tu?..

Wyznaję, że dreszcz mi przeszedł po grzbiecie; ale w tejsamej chwili przyciszony głos Jakóba spytał:

— Panowie już nie śpią?.. może podać lampę?

Ten głos i to pytanie nie miało w sobie nic zaziemskiego.

Karol, z twarzą weśniętą w poduszkę otomany, siedział, jakby snem zmożony. Zostawiłem go samego z jego z myślami i wyszedłem na palcach do salonu...

KONIEC.

## WYCHOWANIE.

Ciąg dalszy.)

Posłuszeństwo nakazom moralnego prawa, które w obec dziecka przedstawia wola rodziców i wychowawców, wynika tak z obawy kary, jak i z uczucia przywiązania, a obydwie te pobudki składają się razem na wytworzenie w istocie młodej pewnego pojęcia o złem i dobrem. Oddziaływają one na siebie wzajem i potrzebną jest pilna uwaga co tu góruje? bo klucz to jest do zrozumienia dziecka—jego skłonności, i ułatwia wychowanie, ustrzeżenie je od błędów—od omyłek fałszywego tłumaczenia sobie postępów dziecka. Że nie można wymagać tu jeszcze ciągłości i wytrzymania moralnej: — że wrażenia są dla dziecka tem, czem podmuch wiatru dla listka, nie można wyprowadzać wniosków i wydawać sądów na zasadzie tej miary, jaką przykładamy do czynów ludzi dorosłych. Naprzykład nie można

uważać zawsze za nieposłuszeństwo, jeżeli dziecko przekroczy dane mu rozkazy, nie wykona ich, jest wrażliwe, daje się pociągać wpływem pobocznym, nie umie być dostatecznie wytrwałym i to są powody, że bez złej woli nie dopelni tego, co jest dlań powinnością. Przekroczenie to jest i należy też skarcić je, ale z uwagą na pobudki, i wtedy tylko karność wychowawcza będzie kształcąca i pożyteczna, a zarazem da wychowcy znajomość natury dziecka i tych jego stron, tak słabszych, jak mocniejszych, które mu znać należy, jeżeli nie chce, działając naoslep, popełniać omyłek.

Nie można też uważać dziecka za niepoprawne, jeżeli wpada kilkakrotnie w błąd, który był mu wykazany. Żądać od małego dziecka ścisłej konsekwencji, jest to — jak wyraża się Compayré „ważyć wiatr, ścisnąć w rękę dym“. Wyrabianie się w tej istocie małej zmysłu moralnego obejmuje nieobliczoną ilość drobnych, niedostrzegalnych stopni postępu — odcieni jego tak niedających się uwidocznić, jak nie widzimy gołem okiem mnożtwe rzeczy, które przecież istnieją i zbiorowo tworzą całości znaczne. Zrazu dziecko odnosi wszystko do siebie i ze względu na siebie sądzi o wszystkim, ponieważ myśl nie jest jeszcze zdolną wybiegać dalej i obejmować przestrzeni szerszych. Ponieważ obok tego pierwszym zaryssem idei prawa moralnego jest dlań uleganie nakazom rodziców, czy z obawy kary, czy przez impuls uczucia, nie będzie to bynajmniej wyrażeniem figurycznym, jeżeli ktoś powie, że rodzice są sumieniem dziecka, bo ich gniew lub zadowolenie stanowi o tem, co człowiekowi dojrzałemu daje spokój wewnętrzny lub uczucie zgryzoty. Matki zwłaszcza powinny też mieć to na pamięci: konsekwentnie okazywać dziecku, czy postępowanie jego zasługuje na nazwę złego lub dobrego. Aby pierwsze światelko własnego, osobistego pojęcia złego i dobrego weszło na horyzont myśli młodzieuchnej i rozjaśniło umysł, trzeba pewnego ustalenia się jakiejś wiedzy moralnej i przyjęcia jej przez dziecko, jako prawo. Wtedy dopiero dziecko zaczyna żyć na własny rachunek; trzeba mu przecieć przebywać jeszcze całą seryą doświadczeń, wywołanych przez okoliczności, aby jego refleksja stawała się coraz szerszą, uczucie zwiększało się i podnosiło ponad egoizm.

I ważny to bardzo moment wychowawczy, bo gdy raz wytworzone pojęcie życia moralnego — sumienie, stanie się zasadą czynów cnotliwych, źródłem ich praktyki, można już sądzić, że kierunek myśli i pragnień młodej istoty będzie moralnym również, bo przez wykonywanie czynów uczciwych, przez pełnienie dobra nietylko ciągle, ale nawet w pewnych chwilach wzruszenia, zmysł moralny rozwija się i wzmacnia w nas — daje zamiłowanie cnoty, rozkochanie się w pięknościach jej ideału. Compayré pisze rozumnie, że między wierzeniami moralnemi a wykonywaniem powinno się istnieć takisam stosunek, jak między wiarą w zasadę a czynem. Gdy wierzysz, działasz, ale nie mniej jest to prawdą, że w miarę działania wiara nasza wzrasta, a nawet zjawia się tam, gdzie jej nie było — wyrasta z czynów naszych. „Nawet ludzie dojrzały nie mają dostatecznego pojęcia idei moralnych póty, póki życie nie nakazuje nam praktyki jakichś wielkich obowiązków swoich — naprzykład obowiązków rodzicielskich, obowiązków względem kraju. Dziecko potrzebuje tego stokroć więcej, aby w skromną sferę jego istnienia wkroczyła sposobność pełnienia rzeczy dobrych, a wtedy idea dobra zajaśnieje w jego umyśle“. Poddając dziecko pod regulę pełnienia dobra, otrzymuje się nietylko dorażne skutki karności moralnej. Zapuszcza ona korzenie swoje w grunt duszy młodej i każdy czyn dobry grupuje w koło siebie w umyśle, w uczuciu dziecka wzruszenia i myśli, wiodące do dobrego. Zadowolenie rodziców i tych, którzy dziecko otaczają—tych, których ono kocha, przynosi mu słodkie wzruszenie serca, złączone z godziwą miłością własną. Cheć szlachetną istotę uczciwego człowieka, nie jest próżnością niską, ale holdem cnoty oddawanym i zarazem drogą do cnoty. Dziecko pragnie najpierw uznania takiego ze strony rodziców, rodzic-

ny i to zakorzenia w niem poządanie szacunku i miłości ludzkiej, o którą przecież modlimy się w pacierzu. Duma uczciwa jest przywilejem dusz szlachetnych, jest tym głosem wewnętrznym, który nam każe dążyć wzwyż, dlatego, że jest to godnością naszą moralną i zadoleniem wyższych instynktów człowieka. Czytelnicy naszego pisma znają piękny wiersz Longfellow'a: *Excelsior*.—W górę! w górę! bliżej nieba a dalej od nędz, chwytających tego, który pełza nisko. Wychowanie, które da dziecku umiłowanie wyższości przedstawionej przez wysoką cnotę, da bodziec, otrzásający człowieka z gnuśności, z wegetowania konch, „co się w bagnie kryją“—wykreśli mu linią szlachetnego istnienia.

Moralność na interesie własnym oparta, moralność z przywiązania do rodziców wynikająca, szczeble to są, które powinny doprowadzić dorastającego człowieka do moralności wypływającej z miłości idei — celów dobra dla dobra. Gdy dzieje się inaczej, jest to tylko interes własny, na dobrze zrozumianej podporze opartej i nie można tego uważać za żadną cnotę, żaden przymiot ducha. I kruchą też bywa taka podstawa moralności, nieraz nagle pękająca pod parciem interesów przeciwnych. Trzeba czystego ukochania dobra, trzeba przejęcia się serdecznego tem uczuciem szlachetnem, aby człowiek w niem wytrwał, gdy życie przyjdzie brać miarę jego wartości moralnej — próbę sił jego cnoty. Powinno więc wychowanie myśleć o tem. Aby dziecko nauczyło się zdawać sobie sprawę z czynów swoich w stosunku do innych ludzi, potrzeba, aby mu nie brakowało stosunków z dziećmi jego wieku, wpływających na urobienie serca jego dla uczuć przyjaźni, miłości — ludzkości wogóle. W dziecku chowającym się samotnie, niemającym rodzeństwa lub towarzystwa rówieśników, trudniej i niedostateczniej rozwija się ta zdolność, którą w życiu codziennem zwiemy towarzyskością — łatwością w pożyciu z ludźmi.

Życie towarzyskie jest dla dziecka pierwszą szkołą moralności międzyludzkiej. Bawiąc się z towarzyszami, dziecko zapoznaje się koniecznie z przymiotami ich lub wadami i doznaje samo w sobie skutków uczuć serca dobrych lub złych. Wiadomość złego i dobrego w człowieku dostaje mu się tą drogą najwyraźniej, bo złe lub dobre, odbija się wtedy na niemsamem, przez przyjemność lub przykrość doznana; więc zaczyna już wskutek tego rozumieć ważność stosunków w międzyludzkich: korzyść związków z dobrymi i straty, spadające na nas przez złe dobrane towarzystwo. Kiełki to są dopiero tych pojęć, ale zaczynają już one odbijać się na umyśle młodym i niepotrzeba inteligencji szczególnej lub przedczesnej, aby dziecko zrozumiało, na swój sposób, nakazy ewangeliczne.—Nie czyn drugiemu, co tobie nie mile... Czyń innym to, co chcesz, aby czyniono tobie.

Ale nietylko znajomość złego i dobrego przychodzi dziecku tą drogą. Teraz łatwiej mu jest odczuć, sympatycznie dobre, a powziąć wstręt do złego, i to jest droga, na której umiejętnie prowadzone wychowanie może wykazać dziecku, ile złego spada na nas przez bratanie się ze złem dla lekkomyślnych chęci użycia chwilowej zabawki, a ile pożytku przynosi towarzystwo dobrych. Helwecyusz powiedział rozumnie, że dwa uczucia stanowią podwaliny związków międzyludzkich: politowanie i uczucie sprawiedliwości, otóż trzeba je rozbudzić w sercu młodem, lecz tylko towarzystwo innych dzieci pozwala osiągnąć to prawdziwie. Teorya jest wobec dziecka bezsilną i na żywych okazach życia musi ono wydostać sobie wszystko z serca. Na widok cierpienia ludzkiego serce to zaboli, i zrodzi się w niem, przez doznane politowanie, uczucie miłosierdzia, dobroczynności, która jest czynną przez miłość bliźniego, obok niechęci do sprawcy cierpienia, i oto położone są podwaliny zmysłu moralnego, bo i sumienie zaczyna teraz działać ze zwrotem na własne postępowanie dziecka—zaczyna się stawać jego sędzią.

Zarazem obraz jego stosunku do ludzi i ludzi do niego samego, zarysowuje się już w umyśle. Zwykle rodzina dostarcza dziecku najpierw przykładów, wywołujących pewne uwagi nad życiem i jego układem, i Compayrę kładzie w usta istoty młodej takie wyrazy przypuszczalnego rozumowa-

wania nad życiem:—Jeżeli zrobię to, co mi jest zakazanem... jeżeli wybije braciśzka, tata wyłaje mnie i ukarze, mama się zmartwi... I brat mi od-da kuksa, będzie mnie bolało i będę niedobry, bo i jego, braciśzka, boleć będzie...

Charaktery i stopnie samolubstwa, stopnie uczuciowości, są rozmaite. Istnieją niewątpliwie zle skłonności: oschłość serca, instynkt hardego oporu, duma wyniosła, popędliwość gniewna; przeciw nigdy nie zostaną bez wpływu na te ujemne strony człowieka oddziaływania wychowawcze, i można zawsze wydostać z głębi duszy ludzkiej instynktu szlachetniejszego. Są natury mniej, więcej, obdarowane w skłonności dobre, ale niema, nie było nigdy takiego człowieka, któryby był zupełnie pozbawionym zmysłu moralnego. W każdym rozbudzić go można — w każdym uprawiać go trzeba, i dla tego to istnieje wychowanie—dla tego ze względu na rozmaite charakterów, stanowią ono umiejętność, która, gdy jest dobrze przez wychowawcę pojęta, może zawsze, prędzej, później—wyprowadzić z głębi młodocianej istoty człowieka siły ducha dodatnie, które tam są i czekają tylko na rozbudzenie.

(Dokończenie nastąpi.)

## LIST Z WŁOCH.

Letnie wakacje już skończone i winien wam jestem sprawozdanie z przebiegu spraw tutejszych za cały ten czas, w którym spożywają pióra nawet korespondentów. Po świętach majowych, o których wam pisałem; po wyścigach, które obecnie są już wszędzie, nawet w Japonii, a na których w Rzymie wielka nagroda wynosiła 100.000 lirów, w czem było 12.000 daru króla Humberta, 6.000 nadesłanych z prowincyi, a resztę złożyło miasto na ręce kwestujących; księcia d'Avigliano i margrabiego de Rocagiovino, nastąpił straszny krach giełdowy. W samym Rzymie dwadzieścia jeden wielkich firm zawiesiło wypłaty, w Turynie jedenaście, przyczem rozjątrzenie ludności, która traciła miliony, było tak wielkie, że z Rzymu uciekło 15, z Turynu 11 dłużników, o których mówiono, że jednak unieśli w kieszeniach dość, aby żyć nie o suchym, ale o dobrze posmarowanym chlebie. Ostatnie sesye parlamentu były też bardzo zajmujące. Rodzina Garibaldiów sprzedała rządowi włoskiemu wyspę Caprerę, gdzie ministerjum wojny pragnie ze względów strategicznych wzniesienia silnej warowni, ale Crispi w imię czci, jaka się należy bohaterom i ludziom wielkiej zasługi dla kraju, wystąpił przeciwko temu z powodu interpelacyi posła Bovio i odniósł świetne zwycięstwo parlamentarne, wnosząc bardzo popularny projekt uznania grobu Garibaldiego na Caprerze za pomnik narodowy, któregoby nikt i dla względów żadnych naruszyć i czci ogółu usunąć nie mógł. Bardzo rozumnie i szlachetnie przemawiał też do Zgromadzenia Narodowego minister Giolitti, wykazując, że wydatki na cele oświaty nigdy oszczędności ulegać nie powinny, bo grosz tu wydany tworzy zawsze ten kapitał majątku narodowego, który procentuje się najwyżej. Dotykając kwestyi robotniczej i jej dzisiejszych skutków dla Włoch, gorąco żałował, że wydawać one mogą rocznie na cele oświaty publicznej tylko 42 mil. lirów, gdy Francya składa na ten cel 151, Niemcy 131, Anglia 143, Austria 57.600.000 mil. franków.

Włochy wydają przeciwko obecnie znaczne sumy na akta wdzięczności dla zasłużonych swoich mężów i ma tu być wzniesionym wkrótce pomnik dla Cairolego i jego bohaterskiej rodziny, ale ten stanie ze składek publicznych. Król Humbert zapisał się pierwszy na listę, składając 10.000 lirów z prywatnej swej szkatuły, do której niezradko sięgać musi, bo Włochy nietylko przeżyły wielkie przesilenie wojny, która je stworzyła

jako państwo, ale obecnie nie mogą jeszcze dojść do ładu z finansami swemi, wśród których pokutują dotąd dawne skutki rozdarcia kraju na części. Rzym, naprzykład, chce tworzyć państwo w państwie, inny oddzielny zarząd finansów, zdający rachunki tylko przed muni-cypium rzymskiem, na co rząd pozwolić nie chce i nie powinien, zwłaszcza, że jest tu wielkie marnowanie grosza publicznego, a nawet kradzież. Ale dumny patrycyat upiera się wyniosłość przy swoim prawie i stworzyło się nawet dla popierania go towarzystwo *Societa del bene economico di Roma*. Książę Don Onorato Caetani, potomek w prostej linii Bonifacego VIII, w części należący do nas, bo urodzony z Rzewuskiej, a będący członkiem tego Towarzystwa, wygłosił na ostatniem posiedzeniu parlamentu śmiałą mowę, która wyraźnie powiada, że Rzym nie ugnie się przed nikim, zwłaszcza przed tymi, którzy obecnie przywłaszczają sobie prawo. Ci, nie wymienieni, to Crispi, ale ten ma dość odwagi, aby stawić czoło nieprzyjaciółom swoim.

Ma jej dość w kierunku każdym i, choć sługa wasz nie należy do rzędu jego wielbicieli, wielu jego poglądów, wielu jego przekonania nie podziela, nie może jednak odmówić mu uznania pod tym względem szczególnie, że umie on kochać silnie to, co kocha, a bogdaj czy nie najgorętszą jego miłością są Włochy: — Italia! Italia!... to jego hasło najwyższe i każdy nerw jego drga miłością dla tej kochanki jego najdroższej, w czem okazuje nawet tkliwość wzruszającą. Niełatwo wysłał w Paryżu książka pod tytułem: „Francesco Crispi“, której autor, Felix Narjaux, przytacza zdarzenie stosunkowo świeże, bo zaszło w czasie bytności króla Humberta w Berlinie, gdzie Crispi mu towarzyszył. Król musiał być na rewii wojsk, obwożony przez Cesarza Niemieckiego, zwiedzać rozmaite zakłady wojskowe: arsenały, fortyfikacje, a w dalszym ciągu został zaproszony przez cesarza, aby udał się z nim do Strasburga, gdzie sztuka fortyfikacyjna i obronność wojskowa rozwinięta jest w stopniu najwyższym na zasadzie nowych wynalazków i postępów militarynych. Crispi, który musiałby mu towarzyszyć, uczuł się boleśnie dotkniętym — uczuł, że był by to akt ciężkiej niewdzięczności względem Francyi, dotykający akrutnie mieszkańców Strasburga, gdyby ujrzeli syna Wiktora Emanuela, uczestniczącego w takim widowisku, urządzonem na cześć jego przez cesarza Niemiec. Postanowił też odziaływać oile można na króla Humberta — przypomnieć mu, oile można, o uczuciach wdzięczności, do których był obowiązany, a przypadek nastęrczył mu sposobność do efektywnego zazuaczenia uczuć swoich. Gdy raz jechał z obu monarchami: cesarzem Wilhelmem i królem włoskim, wracając z przeglądu konnicy, a powóz toczący się ulicą *Pol Lipami* zbliżał się do bramy Brandenburskiej, ujrzął nagle trójkolorową flagę Francyi, powiewającą nad gmachem ambasady francuzkiej — i serce drgnęło mu w piersiach.

Wzruszony, powstał i odkrył głowę, a młody monarcha uległ też temusamemu wzruszeniu, i jak pisze Narjaux: „przypomniał sobie Magenta, Solferino—przypomniał sobie, jak pod tym samym sztandarem walczył za włoską swą ojczyznę, i odkrył też głowę w obec chorągwi francuzkiej“. — Cesarz i Bismarck udali, że nie widzą tego czynu króla, lecz już potem nie było mowy o wycieczce do Strasburga, a król Humbert silnie uściśnął rękę swego ministra, gdy wrócono do pałacu.

Crispi jest odważny i można powiedzieć, że ma w sobie coś rycerskiego, po-rycersku stawia czoło przeciwnikom swoim i nie broni się od odpowiedzialności za to godnością zajmowanego urzędu. Niedawno temu mało nie przyszło do pojedynku między nim a dwoma radykalnymi posłami: Cavallotti i Imbriani, z powodu, że wydalili z Rzymu kilku korespondentów, którzy działali podstępnie przeciwko publicznemu kredytowi Włoch na korzyść giełdowych operacyi *Agencyi Havasa*. Załatwiło się wszystko zgodnie, bo się w to wdali najpoważniejsi członkowie parlamentu, niemniej Crispi wyszedł ze sprawy tej z honorem, bo odwaga osobista ceniona jest wszędzie, a Włochy są nawet pod tym względem bardzo

drażliwi i statystyka wykazuje też, że w przeciągu ostatnich lat dziesięciu odbyło się we Włoszech 2,759 pojedynków, przecięź w krainie, gdzie kwitną pomarańcze, ferwor rycerskiego ducha musi ulegać temperaturze rozgrzewającej im krew mniej lub więcej, jak to świeżo wykazuje statystyka. W Listopadzie od 1879 do 1889 r., odbyło się ich 92, w Grudniu, który najzimniejszym jest Włoch miesiącem, 67. W Styczniu, gdy już słońce zaczyna silniej przyświecać, było ich 220, w Maju 319, w Lipcu 330, w Sierpniu 339. We Wrześniu liczby te znów się zniżają. Wogóle nie bywają to we Włoszech rzeczy zbyt niebezpieczne. Pałac, jako broń niedekoracyjna a niebezpieczna, rzadko jest używany, podobnie jak i pistolety; najczęściej pojedynków odbywa się na szpady, zwłaszcza gatunku zwanego tu *sciabola*. *Sciabola* bardzo efektownego pozoru, jest przecięź najmniej straszną, z rzędu białej broni i we wspomnianem dziesięcioleciu odbyło się na *sciabole* 2,489 pojedynków—24 w Bolonii, 23 we Florencyi, 22 w Genui, w Rzymie 14; w Wenecyi nie błysnęła *sciabola* ani razu, a muszę zadać tu cios romantycznym złudzeniom czytelników, dodając, że w ojczyźnie Romeo i Julietty, wśród tych wszystkich zajęć orężnych najczęściej ich wyniknęło z tak zwanego *diversio*, to jest wyrazów obelżywych, których przyczyną były: polemiki prassowe 974, dyskusyje polityczne 584, religijne 29 razy.

Romantyzm istnieje przecięź zawsze na tym Bożym świecie i przedstawicielem jego można w chwili bieżącej nazwać syna znanej czytelnikom księżny Galliera, który zrzekł się milionów swej matki, ponieważ uważa majątek posiadany za dostateczny. Odrzucił on również tytuł książęcy i jako Filip Ronotière de Ferrary pędzi cichy, głównie naukom oddany żywot. Ze jest przytem amatorem tworzenia zbiorów, a między niemi i marek pocztowych, przybył on w tym roku do Wiednia na wystawę marek pocztowych, a obok tego zwiedzał i przeglądał bardzo uważnie różne zakłady publiczne, biblioteki, muzea. Bywając w bibliotece cesarskiej, zapoznał się z wielu uczęszczającymi tam studentami i wszedł z jednym wśród nich w stosunek życzliwy, jakkolwiek nie znał on jego nazwiska, ani położenia w świecie. Rozmawiając, młodzieniec wygadał się z pragnieniem swoim posiadania kilku dzieł, potrzebnych mu do studyów, książki przecięź były dla drogości swojej niedostępnymi dla niego; nazajutrz otrzymał je wraz z zapłaconym rachunkiem księgarskim, wynoszącym blisko 600 guldenów.

Niepośledniej wagi kwestya finansowa zajmowała tu umysły w tych czasach. Wiemy, że Leon XIII nie chce przyjąć dotacyi zapewnionej mu przez państwo włoskie i utrzymuje się głównie ze świętopietrza, które przecięź przynosi około półtrzecia miliona lirów, a wydatki Watykanu wynoszą około 7 milionów, ale zaradza temu fundusz rezerwowi, powstały ze wspaniałych darów, które Papież otrzymał z okazji jubileuszu swego, w ofiarach nadsyłanych ze wszystkich stron świata, a wynoszący 40, może 50 i więcej milionów lirów. Jest to jego własność osobista i prawdziwa wysokość tego funduszu jest tylko jemu samemu wiadomą. Leon XIII-ty mógłby bezspornie użyć tego majątku na uposażenie rodziny swojej, lub zadostyczyć sobie osobistym upodobaniem, jak to już nieraz czynili jego poprzednicy, przecięź aż dotychczas pieniądze ten podpira jedynie potrzeby Stolicy Apostolskiej i ani grosz jeden inaczej użytym nie został.

Między nowożytnymi fundacyami Rzymu ważne miejsce zajmuje nowe obserwatorium watykańskie, którego dyrektorem jest uczony astronom, O. Denza, Dyrektor Akademii Papieżkiej „Dei nuovi Lincei“. Instytucya ta ważną jest dla nauki, bo obejmuje trzy obszerne pola pracy: meteorologią, magnetyzm ziemski i astronomią. Co do tej ostatniej nauki znajdują się już w Rzymie trzy obserwatoria: przy Collegio Romano, na Kapitolu i na Janikulu, przecięź nowa instytucya zajmuje tu odrębne stanowisko, które nadała mu wola Leona XIII. Na zeszlórocznym w Paryżu zebraniu ogólnem międzynarodowego

komitetu do fotografowania sklepienia niebios, Papież oświadczył przez O. Denza, iż otwiera na ten cel dla prac międzynarodowych obserwatorium swoje, za co otrzymał od stowarzyszenia astronomów podziękowanie i wyraz czci należnej. Przyrzędy do fotografowania nieba zostały bezwzględnie zamówione w Paryżu na koszt Leona XIII i kommissya międzynarodowa wyznaczyła obserwatorium watykańskiemu część nieba, na której obserwacje dokonywane być mają. Obok tego Papież zaopatrzył bardzo bogato obserwatorium w zwykłe narzędzia astronomiczne i jest to jedna jeszcze odpowiedź, jak Ojciec Święty używa skarbu ofiarowanego mu przez wiernych.

Rzymska *Tribuna* otrzymała już kilka miesięcy temu z Londynu wiadomość, zaczerpniętą z *New York Herald'a*, jakoby miała być założoną w Ameryce olbrzymia instytucya, nosząca nazwę „Powszechnego Banku Katolickiego“ w którym Stolica Apostolska zamierza złożyć posiadane kapitały na wypadek jakich ostrzejszych zajęć z państwem włoskiem. Bank ów miał by już jakoby posiadać kapitału zapasowego, 20.000.000 funtów sterlingów, a filie jego zostałyby w dalszym ciągu pozakładane: w Londynie, w Paryżu, w Rzymie, Wiedniu, w Hamburgu, w Barcelonie, wreszcie w Chicago i w San Francisco. Książę Norfolk miał być już wyznaczonym na prezesa banku tego na Anglię, gdzie znajdować się ma już uzbieranego na ten cel funduszu kapitał 2.000.000 funtów. Filialny komitet na Francję miał również przygotować kapitał zakładowy 126.000.000 franków i ludzie już unosili się nad tym Paktolem złota, gdy oto organ Stolicy Apostolskiej *Osservatore Romano* w urzędowym komunikacie wiadomości podanej stanowczo zaprzeczył.

Przecięź pisma włoskie odpowiedziały na to staroświeckiem przysłowiem, że niema dymu bez ognia. Szczegóły podane przez dziennik amerykański są przesadzone, przypuszczają można że ogłoszonej rzeczy jest jeszcze zawczesne; ale niemniej wiele osób wiarogodnych utrzymuje, jakoby wiadomość o *Powszechnym Banku Katolickim* krążyła już poprzednio w kołach blizkich Watykanowi. W Europie będzie też istniał podobno *Bank Powszechny* w Wiedniu; ma on być otwartym z początkiem przyszłego, 1891 roku, ale Papież założycielem jego przesłał tylko na piśmie pasterskie błogosławieństwo swoje, nie stawiając się w żadnym więcej stosunku z tą instytucją. Na czele owego Banku stoi podobno grono Austriacko - Węgierskiej arystokracji, a między innymi baron Ludwik Eder, hr. Alexander Gallenberg. Celem banku jest nieść pomoc, tak ludziom, jak instytucjom, z zadaniem humanitarnym i wydrzeć z rąk dzisiejszej, mniej sumiennej plutokracji to panowanie finansowe, które oddziaływa demoralizująco na jednostki i społeczeństwa.

Odtworzona kaplica Ś-go Stanisława Kostki, z łaskawej woli króla Humberta, po zruinowaniu jej przez municypalność Rzymu, rozwarła się dla pragnącej tam pomodlić się rzeszy dnia 15-go Sierpnia, w dzień uroczystego święta Matki Boskiej, a razem w rocznicę zgonu Ś-go. Dzieła dokonali architekci królewscy, zachowując najskrupulatniej tak rozmiary jak i kształty dawne. Mur, sufit, podłoga celi niegdyś Świętego — wszystko to samo, złożone z kawałków w sposób zdumiewający. Po nad wielkiem, nader lichem malowidłem Minardi'ego, które wisiało nad leżącym posągiem Świętego złożonym z różnobarwnych marmurów, dziełem rzeźbiarza Legros'a, a które to malowidło przedstawiało Matkę Boską w gronie świętych Panien i Aniołów przybywającą na spotkanie duszy Świętego młodziana, wyszedł zpod warstwy wapna wspaniały i misternie wykonany fresk z XVII w. Otóż i ten fresk został przeniesiony do odbudowanej kaplicy, która jest rzeczywiście dawną całą Ś-go Stanisława, odtworzoną tak z ułamków, zestawionych ze sobą w sposób o tyle misterny, że oko, znajdujące niegdyś to pamiątkowe dla nas miejsce, doznaje złudzenia, jakgdyby cudownej tożsamości. Dobrej królowej Małgorzaty to dzieło, a raczej dzieło to obojga królestwa, bo

jeżeli tkliwe uczucie serca kobiecego odczuło, co to jest ukochanie świętych pamiątek, to król Humbert dodał ze swojej strony, nie szczedząc grosza, hojnie tu łozonego, tyle dobrej woli, że obojgu jednakowa wdzięczność należy.

H...

## U STÓP MONT-BLANC.

Przybyłem do Chamounix już późnym wieczorem i stanąłem w hotelu *Pod Niedźwiedziem*, zmęczony piętnastogodzinną drogą, odbytą konno przez góry i wąwozy Sabaudyi—pisze podróżnik *J. H.*—Byłem przytem zziębnięty, bo chłód zbliżającej się jesieni, silnie czuć się daje w pobliżu lodowców alpejskich i wilgoć wieczorna przenikała mnie nawskroś. Nie jadłem już nic i tylko, wypiwszy kubek ponczu, położyłem się spać, ale niełatwa to rzecz, aby sen siadł nam prędko na oczach w hotelu pełnym ludzi, kręcących się wciąż po kurrytarzach, otwierających i zamykających drzwi, rozmawiających ze służbą. Wybiłem się też tak ze snu, że nie mogłem zamknąć oczu, nawet wtedy, gdy nakoniec uciszyło się wszystko dookoła. Słyszałem beczenie zabłąkanej w górach kozy i dzwonki mułów zapóźnionej w drodze wyprawy turystów, aż w końcu doszły uszu moich dwa głosy, rozmawiające w pobliżu. Ściana, przy której stało łóżko, była tylko cienkiem przepierzeniem; przytem drzwi, tak źle dopasowane, że poprzednio przedzierala się przez nie smuga światła, przepuszczały głos o tyle, że mógł słyszeć wyraźnie rozmowę, prowadzoną poangielsku—rozmowę mężczyzny i kobiety.

— Aniu, Aniu droga, proszę cię, uspokój się i śpij—mówił bardzo łagodnym kontr-altem mężczyzna.

— Nie mogę... ah! nie mogę... odparł sopranowy głosik kobiety.—Henryku! mój dobry, mój ukochany Henryku, przyrzecz mi tylko, że odstąpisz od tej wyprawy, a usnę zaraz. To taka szalona rzecz!

— Proszę cię Aniu, daj temu pokój — rzekł mężczyzna trochę niecierpliwie. — Obawy twoje są dziecinne, ponieważ jestem obeznany z takimi wycieczkami, a przytem jestem silny i potrafię sobie radzić nawet w razie wypadku. Śpij, jeżeli mnie kochasz.

Nie usnęła dlatego właśnie, że kochała, i głosy umilkły, nie nadługo. Ania snadź płakała, i mąż, bo można się było domyślić, że mąż mówił to do żony, zaczął ją łajać. — Nie ufasz mi — mówił—nie wierzysz w mój rozsądek... Czyżbym mógł lekceważyć życie teraz właśnie, gdy już jesteś moją? Nie bądź dzieckiem... trzeba ci już nabrać powagi kobiety zamężnej.

Ucichło i zasnąłem, ale nie nadługo. Obudziło mnie wkrótce skrzypnięcie drzwi sąsiedniego pokoju, słyszałem potem ciche kroki w kurrytarzu, schodzenie ze schodów, aż okno mojego pokoju zajaśniało czerwonym światłem. Zerwałem się z łóżka, aby wyrzeć na ulicę, gdzie zobaczyłem dwóch goralich z zapalonemi pochodniami. Każdy z nich miał na plecach pęk grubego sznura i rydel na długiej osadzie. Mój sąsiad, jak trzeba się było domyślić, wysoki, przystojny człowiek, przypuszczalnie lat trzydziestu kilku, znalazł się niemal w tejsamej minucie między nimi i rozwinąwszy pled, który niósł na ręku, odział się nim—i ruszono zaraz w drogę.

Niebo było tak pogodne, że jedna gwiazda zdawała się wysadzać drugą, i srebrny sierp nowiu błyszczał między niemi. Patrząc za odchodzącymi, żałowałem, że nie należę do wyprawy; przecięź położyłem się napowrót, bom był strudzony drogą i zaraz wkrótce usłyszałem zegar kościelny, bijący godzinę dwunastą. Nie mogłem już usnąć. Czy moja sąsiadka spała? trudno było wiedzieć, nie słyszałem przecięź żadnego szmeru, lecz

w każdym razie żałowałem jej, bo nawet sen przy niepokoju serca nie daje odpoczynku sprowadzając na nas mary trwożące. Ponieważ wielki, czarny cień góry Mont-Blanc pada na dolinę Chamounix, jak olbrzymia płachta całunu, różowe blaski jutrenki nie dostają się tu wcale, słońce musiało też wejść i wzbici się już w górę, gdy posępne jodłowe lasy, odziewające boki tego olbrzyma Alp, ozłociły się nakoniec. Ubrawszy się wtedy co prędzej, zeszedłem na dół i oczy moje przykuły się nadługo do obrazu, nigdy nie zapomnianego przez tych, co go raz oglądali. Lodowce, ciągnące się białemi, błyszczącymi wstęgami od wierzchołka pasma alpejskiego i sięgające niemal chat góralskich, przerzając czarny płaszcz lasów, gdy powyżej, na 2.000 metrów ponad jakąkolwiek roślinnością, sterczy łańcuch iglic z czerwonego granitu, obwieszonych sopłami szronu, jeszcze można powiedzieć martwych, nie przebudzonych do życia, bo nie rozblaskujących w świetle promieni słonecznych. A tam dalej, wyżej, panując nad wszystkim, co się ziemi tyka, i jak gdyby już na granicy zaświata, olbrzym Mont Blanc wznosi usnieżony, gładki, okrągły jak głowa ludzka, szczyt, na który słońce bije wprost, koronując go wieńcem promieni.

Wrażenie dziwnie uroczyste i opisać się nie dające ogarnęło mnie, a raczej zagarnęło sobie, tak, żem stał — stał zapatrzony jak w obraz z Apokalipsis, aż naraz młoda, delikatna, bardzo ładna blondynka znalazła się obok mnie. Było to w ogrodzie hotelowym i każdy z podróżnych, którzy tu stali, mógł, tak jak ona, wejść tu i patrzeć na to, co ja, lecz było to tak rano, że wzrok mój zwrócił się na nią z ciekawością. W dużym kapeluszu z popielatego filcu, w granatowym sukienym płaszczku, miała na ręku małego, czarnego pieska, którego przecież puściła zaraz na ziemię, i oczy jej tak melancholijnie, tak lekko podniosły się na Mont Blanc, żem od razu poznał: kto to jest? Niemal zaraz właściciel hotelu wszedł też do ogrodu i zapytany o nią przezemnie potwierdził uczynione przypuszczenie. Była to angielska, żona bardzo sympatycznego gentelmana, Henryka Martingale, mieszkała z mężem w hotelu od dni kilku. Obecnie mąż się wyprawił na wycieczkę, w której towarzyszyć mu nie mogła, bo przechodziło to siły kobiety. Wyprawy takie są połączone z niebezpieczeństwem: miała więc prawo być niespokojną, i żalowaliśmy jej obaj, zwłaszcza, że miała minę bardzo smutną, lecz przytem tak łagodną, iż chwytalo to za serce. Biedaczka, bała się o męża, nie bez słuszności: nie jeden już nie wrócił z tamąd, gdzie poszedł, i nigdy nawet nie odkryto jego ciała. Porwały go duchy; jak opiewa legenda miejscowa.

Patrzyłem z boku na kobietę: była nietylko ładna, ale niewymownie miła. Mogłem przysiąc, że jest to bardzo tkliwa, bardzo uczuciowa istota. i myślałem, czy wolno jest mężowi narażać ją na taką niespokojność? — gdy nagle chrapliwy głos trąby rozległ się w pobliżu i ona nieboga drgnęła, a potem, chwytając pieska, uciekła z ogrodu.

— Dali znak tam u teleskopu, że można już widzieć podróżnego na górze — rzekł mi gospodarz. — Ludzie się będą tłoczyć, aby go ujrzeć.

— Dziesiąta godzina — dodał, zaglądając na zegarek. — O wpół do trzeciej, o trzeciej może stanie u celu. Jeżeli zuch i ma dobre nogi, to może być z powrotem o jedenastej wieczorem, bo trzeba co najmniej ośmiu godzin na drogę powrotną. Nie jest to zabawka taka wyprawa.

Wiedziałem o tem, i zajęty śmiałym podróżnikiem więcej, niż sam przypuszczać mogłem, pośpieszyłem do teleskopu, kierując się za dźwiękiem trąby. Za pięćdziesiąt centymów nabyłem

prawa obserwowania podróżnika przez cały dzień w różnych godzinach. W tej chwili przecież miejsce było zajęte. Biedna żona ściagała męża wzrokiem niespokojnej tęsknoty i nie chciałem jej przeszkadzać, ale teleskopista wdał się w tę sprawę. — Zmęczysz pani oczy — rzekł, dotykając z uszanowaniem jej ramienia.

Drgnęła, lecz cofnęła się natychmiast. To tak trudno oderwać oczy od tego, co się widzieć pragnie — rzekła mi łagodnie ze smętnym uśmiechem.

Nietylko była ładna i miła: miała w sobie coś dystyngowanego. Przedstawiłem się jej i powiedziałem, że los uczynił nas sąsiadami. Przyjęła moje słowa uprzejmie. Dziwnie słodka łagodność przebiegała się w każdym jej ruchu, słowie, spojrzeniu. Kobiety dobrego, tkliwego serca zwykle bywają łagodne, gdy są smutne. Korzą się pod ciężarem boleści, co nie znaczy bynajmniej, aby miały mniej cierpieć od tych, które krzyczą i szumują — aby były limfatyczne i oziębłe. Nie... tylko cała ich istota tak jest pogrążona w uczuciu doznawanem, że opanowuje je ono i zabiera w sobie zupełności całą ich osobistość. Nie rozżalają się egoistycznie nad sobą, nie unoszą się gniewnem zalem na to, że los dotyka je boleścią: dlatego cierpienie ich jest spokojne — i tak było z tą biedaczką, zajmującą mnie przez to tem więcej.

Teleskop ukazał mi trzy czarne punkciki na niezmiernym polu białych przestworów. Poruszały się one podobne do mrówek i doznałem w ludzkiej miłości własnej upokarzającego wrażenia, zwłaszcza, że góra Mont-Blanc ukazywała mi dziwnie wspaniałą i nową, wyniosły obraz. Słońce już oblewało ją teraz potokami światła i występował mi przed oczy chaos błyszczących lodowców i olśniewającego śniegu. Tam, gdzie gołe oko widzi jedynie gładką, pochylą powierzchnię, teleskop ukazuje nieobliczoną ilość piramid z lodu, wysokich jak wieżycy kościołów, a obok tego rozpadliny, szerokie jak koryta wielkich rzeki. Filary, łuki, czarodziejskie mosty nad przepaściami — wszystkie style architektury, odtworzone w gmachach pałaców zaklętych, mieszkania olbrzymów i pieczary gnomów — wszystko to oko tam znajduje, tylko nie dostrzega nigdzie żadnej iskiereki żywego życia, ani jego śladu. Ptak nie ściele tu gniazda, zwierzę nie szuka tu nory — nie, prócz szumu wód i niekiedy piorunowego huku!

Na tem tle trzy istoty ludzkie — trzech mężczyzn posuwa się z wolna; obwiązani są w pasteliną, która ich łączy ze sobą, lecz dla oka patrzących wydaje się ona niteczką pajęczyną. Ruch nóg i rąk przedstawia wzrokowi patrzącego podobieństwo do ruchu owadów i trzeba uważnie patrzeć, aby dostrzedz, że ten, który jest na przodzie, rąbie bez przerwy lód przed krokami swymi — tworzy stopnie, na których postawi nogę. Ten, który jest ostatnim w tyle, ma na plecach worek iten dźwiga zapasy pożywienia, bo tu, gdzie nie istnieje już żadne życie organiczne, natura nie wydaje też nic, coby mogło być pożywieniem dla jakiejś istoty żywej.

Patrzyłem, patrzyłem i zdawało mi się że to jest obraz jakiejś hallucynacji gorączkowej, gdy nagle teleskopista położył mi rękę na ramieniu. — Pozwól-no pan, abym spojrział teraz — rzekł.

— Za kwadrans dostaną się na płaszczyznę *Grand Plateau* i znikną nam z oczu, aż do południa — dodał, a ja ustąpiłem wtedy miejsca biednej kobiecie, która stała na boku, cicha, bledziutka.

Wielka sala jadalna hotelu była zupełnie pusta, lecz stół wciąż nakryty stał, oczekując gości,

którzy mieli zgromadzić się tu dopiero wieczorem. Ludzie przebywający tu są zwykle w ruchu dzień cały; gospodarz opowiadał mi, że partjami udano się do La Flagère, de Planpréz, Montanvers, lub w wąwozy Diosaz. Tylko ja jeden i biedna kobieta, nurtowana przez niepokój, zostaliśmy w hotelu i we dwoje też siedliśmy do stołu. Zastanowiłem się chwilę: czy wypada mi zacząć z nią rozmowę? — lecz jakże mieliśmy tak siedzieć we dwoje przy jednym stole i milczeć jak głuchoniemi? Przytem trzeba jej było jakiegoś, choć przymusowego, rozerwania myśli i zacząłem od pytania: czy lubi podróż, dalekie wycieczki, czy jest zamiłowaną w widokach natury? Powoli rozmowa się ożywiła. Biedna, ładniuchna kobiecinka! Gdy zaczęła mówić o mężu, stała się wymowną i ktoś mógłby zrobić uwagę, że mówiła zawiśle z człowiekiem nieznanym, alem ja ją rozumiał. Potrzeba jej było tego, aby nie myśleć, nie dawać folgi wyobraźni, któraby ją torturowała, teraz zwłaszcza, gdy miała takie tło dla obrazów tworzonych na palecie swojej. Mówiła głównie o mężu; opowiedziała mi mnóstwo szczegółów charakterystycznych ich wzajemnego do siebie stosunku. Miłość jej dla niego była dumna; powiedziała mi, że jest literatem, opowiadała jak się poznali, pokochali, pobrali nakoniec. Mówiła mi też o jego pracach literackich i myśl jej nie mogła się oderwać od niego ani na chwilę; ale potrzebowała również tak ją zająć przeszłością, nie zagłębiała się w zadumę nad terażniejszością i jej wszystkimi możliwościami. Biedaczka! walczyła mężnie, aby nie płakać, nie wyciągać daremnie rąk w stronę, gdzie uszedł jej ukochany.

Znam się na charakterach i czytałem w tej duszy kobiecej jak w księdze otwartej. A jaka śliczna, jaka śliczna była biedaczka wtedy, zwłaszcza, gdy przy wspomnieniach przeszłości rozrumieniała się jak różyczka! Pożegnałem ją koło południa, ponieważ trzeba mi było napisać kilka listów, które postanowiłem odnieść sam na pocztę. Przyjaciel, niegdyś kolega szkolny, czekał na mnie w Vevey; donosiłem mu, że jutro dostanę się do niego przez wąwóz de Balme.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## OD WYDAWCY.

„Bluszc” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszc* dołącza się Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Administrator**, przez Goła Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej.

**TREŚĆ:** Polityczne równo uprawnienie kobiet w Anglii, przez M. — Modlitwa Hektora (dokoń.) przez S. K. — Ofara. Scena z dramatów życia (dokoń.) — Wychowanie (dalszy ciąg). — List z Włoch, przez H. — U stóp Mont-Blanc

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 10-ty powieści, pod tytułem: **Administrator**, przez Goła Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej. — Przegląd mód. — 28 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**



# PRZEGLĄD MÓD

(zamieszczony w oddzielnym dodatku).

## Okrycie z aksamitu.

Rycina Nr 1. (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 82-86).

Skrajac z czarego aksamitu fig. 82-85 po dwie części. Podług fig. 86 kołnierz, który ozdobić haftem maszynowym. Zaopatrzyć części wata i podszewką z atlasu, wykonać zaszewki i połączyć części od 55 do 56, od 59 do 60 i od 57 do 58. Wszyć rękawy po zmarszczeniu takowych od \* do \*, od 61 do 62. Po wszyciu kołnierza, zeszyć od 63 do 64 wzdłuż gładkiej linii. Ozdobić pasmanteryjną frendzlą 11 c. szeroką oraz gretolkami podług ryc.

## Paltot z aksamitu.

Rycina Nr 3. (Kr. odwr. str. tabl. Nr IV, fig. 73-81).

Paltot w stylu Ludwika XIII-go z aksamitu koloru szmaragdowego ozdobiony kamizelką z sukna koloru „crème“ i haftem wykonanym czarnym jedwabiem. Prawy przedni brzeg obszyty koronką w rodzaju żabotu. Po dopełnieniu fig. złożonych i przydłużeniu w kierunku strzałki fig. 74, skrajac z sukna fig. 73, z aksamitu fig. 74-81 po



Nr 2 Płaszcz dla panienci od 7-9 lat (do ryc. Nr 17). Krój i op. odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 61-71 w Bl. Nr 38 i 39.

## Żakiet „Nelly.“

Rycina Nr 4.

Żakiet z materiału jedwabnego tkanego w deseni atlasowy, mocno wcięty do figury w części tylnej, przednie zaś części luźno spadają jakby



Nr 1. Okrycie z aksamitu (do ryc. Nr 9). Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 82-86.

wy, kołnierz „Médicis“, napierśnik i pasek od boczów z aksamitu koloru granatowego. Haft wykonany czarnym jedwabiem wykończa całość.

## Płaszcz z sukna ozdobiony futrem.

Rycina Nr 11. (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 53 w Bl. Nr 38 i 39).

Płaszcz z sukna koloru ciemno-ponsowego, tegoż koloru atlasem podszyty, przednia część wstawiona oraz rękawy ozdobione haftem maszynowym koloru czarnego i obszyte z niebieskich lisów. Po dopełnieniu złożonych figur i przydłużeniu skróconych w kierunku strzałki skrajac fig. 53, 55 i 57 po jednej części a fig. 60 dwie części złożone wzdłuż środka z uwzględnieniem wystających konturów spodniej części rękawów. Podług fig. 54, 56, 58 i 59 po dwie części. Ozdobić haftem fig. 53 i 60 i zaopatrzyć atlasową podszewką fig. 53 do 55, 57 do 59. W przednich częściach i plecach wykonać fałdy, trafiając każdy † na kropkę. Linie kropkowane oznaczają zewnętrzne zgięcia. Zeszyć od 25 do 26 i od 27 do 28; wyłożyć wzdłuż kropkowanej linii i przednią część połączyć z napierśnikiem od 23 do 24. Do lewej przedniej części przyszyć listewkę z dziurkami i odpowiednie guziki wzdłuż linii na napierśniku. Pełerynę ułożyć w fałdy każdy † na kropce oraz † oznaczone lit. c na kropce c.



Nr 3. Paltocik z aksamitu (do ryc. Nr 10). Krój odwr. str. tabl. Nr IV, fig. 73-81.

poły mantylki. Pół paska w rodzaju gorsecika ozdobionego dżetem. Kołnierz haftowany dżetem i przybrany piórami. Takie samo przybranie przednich części żakietu i dolnego brzegu rękawów. Rękawy z „faille française“ bufiaste, ułożone w fałdy i zwężone w dolnej części. Kapotka z bengaliny czarnej przybrana czarnymi perłami i egretą z piór przewiazaną wstążką aksamitną.

## Okrycie z aksamitu.

Rycina Nr 5.

Okrycie z aksamitu koloru czarnego lub fioletowego. Rodzaj karczka marszczonego utworzonego z haftu i dżetu z nagłówkiem riuszowanym podszytym atlasem, zakończenie stanowi lekka frendzla jedwabna z dżetem. Poły związane w części dolnej, przepasane paskiem haftowanym dżetem i frendzlą pasmanteryjną. Kołnierz haftowany odpowiednio i obszyty piórami. Kapotka z aksamitu czarnego lub fioletowego ozdobiona dżetem i czarną koronką upiętą w egretę, oraz drobnymi kwiatkami aksamitnymi.

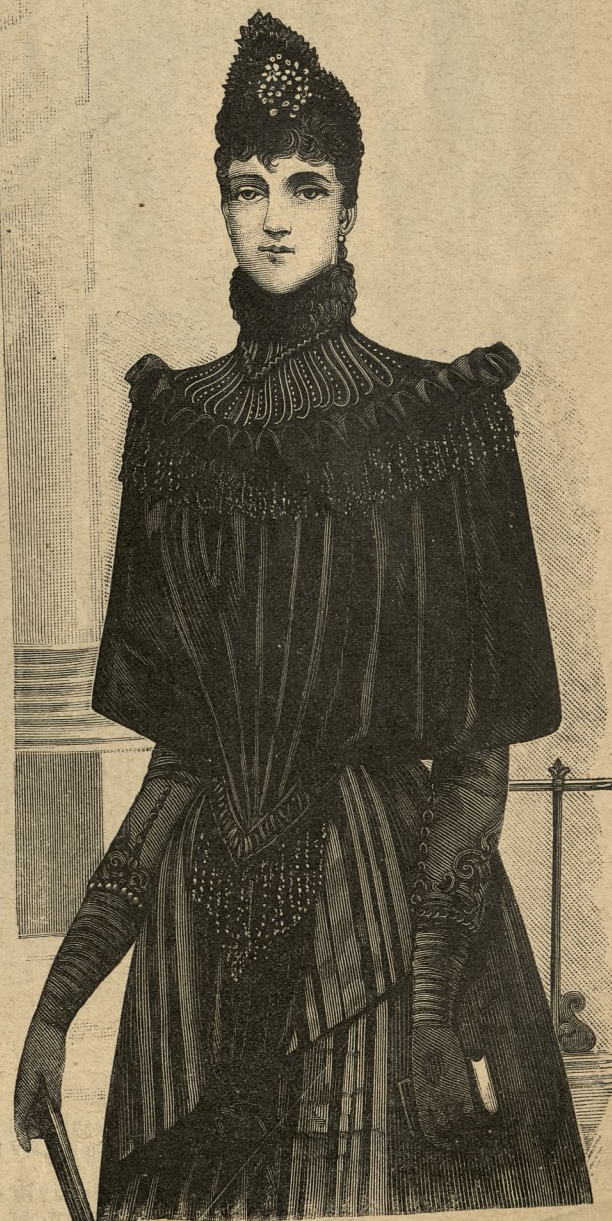
## Płaszcz z sukna i aksamitu.

Rycina Nr 7.

Płaszcz długi z sukna granatowego zaopatrzonego podszewką z atlasu tegoż koloru. Ręka-



Nr 4. Żakiet „Nelly.“



Nr 5. Okrycie z aksamitu.



Nr 6. Suknia dla panienki od 5-7 lat. (Op. pierw. str. tabl. w Bl. Nr 38 i 39).

Nr 7. Płaszczek z sukna i aksamitu (do ryc. Nr 16).

Nr 9. Okrycie z aksamitu do ryc. Nr 1). Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 82-86.

Nr 8. Płaszczek dla panienki od 2 do 4 lat. (Opis pierw. str. tabl. w Bl. Nr 38 i 39).

Nr 10. Paltocik z aksamitu krojem „Louis“ XIII (do ryc. Nr 3). Krój odwr. str. tabl. Nr IV, fig. 73-81).

Nr 11. Płaszczek z futrem (do ryc. Nr tr. tabl. Nr VII, fig. Nr 88).

Nr 12. Paltocik z jedwabnego repsu (do ryc. Nr 15).

Nr 13. Płaszcz z sukna ozdobiony futrem (do ryc. Nr 11). Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 53-60 w Bl. Nr 38 i 39.

Nr 16. Płaszczek z sukna i aksamitu (do ryc. Nr 7).

Nr 17. Płaszczek dla panienki od 7-9 lat (do ryc. Nr 2). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 61-71 w Bl. Nr 38 i 39.

Nr 14. Paletot z sukna i aksamitu. (Krój i op. pierw. str. tabl. Nr III, fig. 24-30 w Bl. Nr 38 i 39).

Nr 15. Paletot z jedwabnego repsu (do ryc. Nr 12).

Wyłożyć przedni brzeg wzdłuż linii zgięcia, przyszyć od 29 do 30 wzdłuż linii, oraz w górnym brzegu od 23 do 29 i z przodu, trafiając dwukropkiem w dwukropek, następnie umocować † oznaczone lit. *a* fig. 55 na kropce *a* fig. 56, oraz † oznaczone lit. *b* na kropce *b*. Od 21 do 32 wszyć kołnier obłożony futrem. Rękawy zeszyć od 33 do 34 i od 35 do 36 i wykonać szew w fig. 60 od 36 do 37. Górny i dolny brzeg zmarszczyć w fałdy od \* do \* i wykończyć podług ryciny.

### Kaftanik z repsu jedwabnego.

Rycina Nr 12.

Krótki kaftanik do figury wykonany z czarnego jedwabnego repsu, zaopatrzony watą i podszewką atlasową, ozdobiony haftem, obłożeniem z piór i frendzlą jedwabną.

### Ubrania dla dzieci i małych panienek.

Rycina Nr 18.

#### Sukienka dla 4-ro-letniego dziecka.

Spódniczka układana w fałdy z materiału wełnianego koloru blade-niebieskiego. Wierzchnia sukienka krzyżowana, z aksamitu koloru granatowego, ozdobiona haftem. Rodzaj szarfy związanej na przodzie z „surah” niebieskiego. Rękawy wąskie zapinane na guziczki.

#### Sukienka dla panienci od 6 do 8 lat.

Rycina Nr 19.

Suknia krojem „Empire” z kaszmiru lub bengaliny koloru seledynowego. Spódniczka i stanik w rodzaju bluzki marszczony i przepasany paskiem z surah podług ryciny. Stanik zmarszczony trzy razy przy wycięciu szyi ozdobiony falbaną tworzącą pelerynkę. Rękawy układane w fałdy, bufiastę w górnej części, zwężone ku dołowi i zapinane na guziczki.

### Sukienka dla panienci 6-cio-letniej.

Rycina Nr 20.

Suknia z materiału wełnianego gładkiego i takiegoż materiału szkockiego. Stanik marszczony w rodzaju bluzki z karczkiem z materiału szkockiego. Rękawy z materiału gładkiego z epoletami szkockimi. Szarfa z materiału szkockiego, krzyżowana. Kapelusz filcowy ozdobiony puklami ze wstążki odpowiedniego koloru.

### Zarzutka na głowę z tiulu.

Rycina Nr 1 i 8 w Bl. Nr 41.

Zarzutka 150 c. dług. a 30 c. szer. wykonana z tiulu białego bawełnianego w rzucane kropki i podług ryc. Nr 8 przetykana grubą

rozmaitego koloru flozelą i nitką złotą, ścięciem płaskim i krzyżowym podług ryc. Nr 28 przedstawionej w wielkości naturalnej. Wykończyć podług ryc. Nr 27 i ozdobić kokardami ze wstążki atlasowej 4 c. szer. koloru poziomkowego i oliwkowego.

### Szlak na serwetki, poduszki i t. p. (ściąg płaski).

Rycina Nr 31 w Bl. Nr 41.

Szlak wykonany na tkaninie kanwowej nie dzielonej, rozmaitego koloru flozelą ścięciem płaskim. Otaczać figury i szlaczki ścięciem stębnowanym jedwabiem koloru brązowego, przejmując przez 4 nitki tkaniny. Figury wypełniać jedwabiem koloru ponsowego niebieskiego, zielonego i złotego, tło zaś przejmować przez 2 i 4 nitki tkaniny jedwabiem koloru „crème”. Wąskie szlaczki wypełnić jedwabiem ponsowym i złotym.



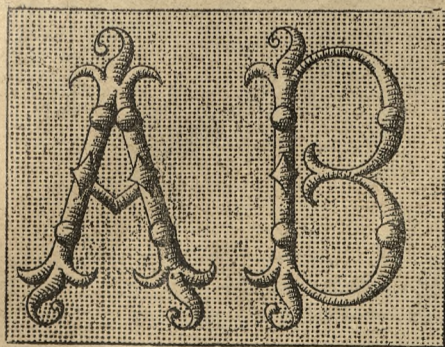
Nr 18—20. Ubrania dla dzieci i małych panienek.

### Wykwintny obiad jesienny.

Zupa „à la reine.”  
Rosół z pasztecikami.  
Zosóz z sosem holenderskim.  
Cąber barani, kartofelki „lyonnaise”, sos „soubise” (patrz 365 obiadów).  
Kalafior.  
Pulardy i kuropatwy, kompot z gruszek, jabłek i brzoskwiń.  
Lody maraskinowe.  
Ser, winogrona.

### U W A G A.

Tablica krojów objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze Bluszczy służy też do Nr 42 i 43.



Nr 21 i 22. Litery na znaczki.

białą włóczką „zefir.” Na każdej kropce w rzędzie przetykanym wykonać supelkę. Po wykończeniu zaopatrzyć lekką jedwabną podszewką koloru białego lub innego i otoczyć frendzlą puklową z włóczki. Na frendzlę użyć włóczkę potrójnie złożoną, i wiązać takową w odstępach 1½ c. nitką pojedynczą. Następnie wyciąć potrójną nitkę pomiędzy supelkami a nitką pojedynczą przedstawi pukle 5 c. dług. w odstępach mniej więcej 2 c.

### Kapelusze zimowe.

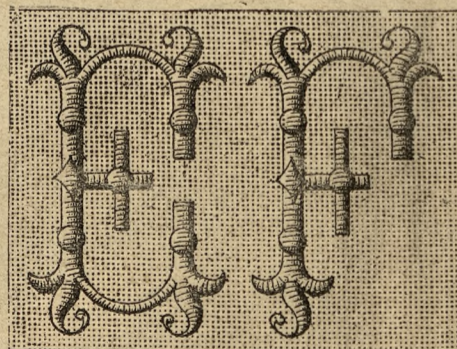
Rycina Nr 10—18 w Bl. Nr 41.

Kapelusze z kasztoru i fileu w kolorach czarnym, białym, popielatym, piaskowym i ponsowym. Kapelusz Nr 11 przybrany pasmanterią. Główniki niskie. Ronda równe lub wyginane.

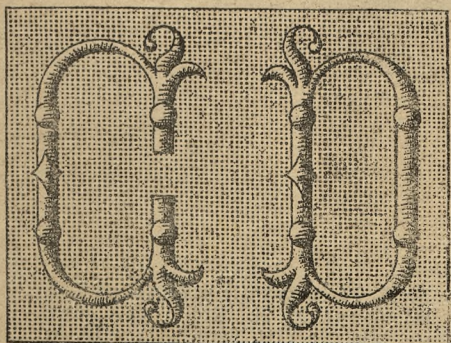
### Puff ozdobiony haftem.

Rycina Nr 27 i 28 w Bl. Nr 41.

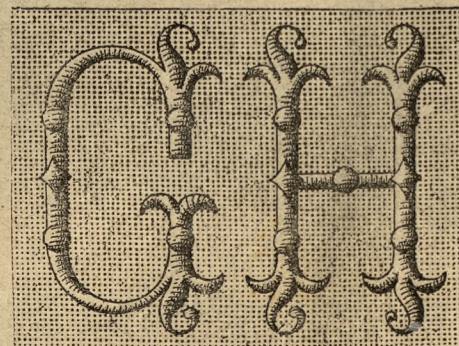
Puff formy kwadratowej 35 c. wielkości wypchany puchem; z jednej strony pokryty częścią haftowaną podłożoną atlasem koloru jasno-oliwkowego, z drugiej zaś pluszem koloru oliwkowego. Haft wykonany na tkaninie „kongres” koloru złotawego w pasy tkane ściśle i przezroczyste, pomiędzy którymi wykonać haft



Nr 25 i 26. Litery na znaczki.



Nr 23 i 24. Litery na znaczki.



Nr 27 i 28. Litery na znaczki.